

**WOJCIECH  
CHMIELARZ  
PRZEJĘCIE**

MARGINESY

Copyright © by Wojciech Chmielarz

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

*Dla Dagi*

Polaco – wołali Kolumbijczycy.

Polacy też. Takie zasady. Tylko ksywki, żadnych imion, żadnych nazwisk.

Co roku, tuż po Wielkim Poście, rozpoczynała się trasa w Polskę powiatową. Wielki tour po tętniących basami i migoczących kolorowymi światłami dyskotekach. Po tancbudach, gdzie na parkietach pachnących sztucznym dymem ocierali się o siebie w monotonnym rytmie wyżełowani chłopcy i wypindrzone dziewczęta. Wiele z par szło potem zacieśniać znajomość do ubikacji albo do pobliskiego lasu, który co weekend tonął w zużytych prezerwatywach.

Czerwony van z Polaco w środku, cały oblepiony naklejkami Coca-Coli, wjeżdżał na żwirowy parking z głośnym trąbieniem. Ci, którzy akurat wyszli na dymka, podchodzili skuszeni. Niektórzy pędzili po znajomych. Potem następowała wielka premiera – otwarcie kłapy i prezentacja zgrzewek.

– Chodźcie, chodźcie. Darmowa cola! Darmowa cola dla spragnionych!

Wkrótce wieść się roznosiła i Polaco otaczał żądny puszek tłum. Ludzie rzucali się na nie, jakby to była pierwsza rzecz, którą pili po czterdziestu dniach postu.

Na Polaco czekało zaś zadanie. Casting. Należało wyłapać jedną, dwie, może trzy osoby. Nie za dużo. Ważne, żeby na wycieczce nie było zbyt wielu ludzi z jednej okolicy. Samotni w grupie – ci

byli najlepsi. Pożądane cechy: pewność siebie i odwaga – wystarczające, żeby przyjęli złożoną propozycję. Niefrasobliwość – na tyle duża, żeby zrobili to, czego się będzie od nich oczekiwać. Słabość – na tyle wyraźna, żeby można było ich złamać. Głupota – żeby dali się podporządkować i nie próbowali buntować.

Casting to złe słowo. Polowanie – lepsze.

Wyżelowani chłopcy. Wypindrzone dziewczęta. Wytypowani.

Potem rozmowa na boku. W ciszy, na chłodnym powietrzu. Z alkoholem szumiącym w głowie i wzrokiem zaćmionym od miękkich narkotyków.

– Słuchajcie, słuchajcie. Jest taka sprawa, Coca-Cola szuka ludzi do reklamy. Będziemy kręcić na Karaibach. Super rzecz. Wielka impreza, pracy tyle co nic, trzeba się tylko będzie pobujać pod palmami, a na koniec i tak wam zapłacą. Co wy na to, chętni jesteście? Szukamy samych fajnych ludzi!

Zawsze się zgadzali.

Formalności załatwiali więc od razu: spisywali dane osobowe, adresy, numery telefonów. A potem czerwony van odjeżdżał i nigdy nie wracał w to samo miejsce.

Po dwóch miesiącach takich wypadów mieszkanie Polaco tonęło w notatkach. Pomagała fotograficzna pamięć. Jeden rzut oka, imię, nazwisko, nazwa miejscowości i już w głowie pojawiała się konkretna twarz, konkretna osoba.

Nadchodził czas decyzji.

Trzy łyki zimnej kawy. Papieros wypalony przy oknie wychodzącym na aleję Armii Ludowej. W dole sznur samochodów, zapach spalin, w oddali szare bryły warszawskich wieżowców.

Telefon w ręce. Numer wybierany w rytm melodii z radia.

– Cześć. Pamiętasz mnie? Polaco. No, rzeczywiście śmieszna ksywa. Od Coca-Coli... No właśnie... Dzwonię do ciebie, żeby ci powiedzieć... Gratulacje! Wygrałeś! Jedziesz na Karaiby.

Pisk radości w słuchawce.

Dziwne. Jakby zanik pamięci. Pierwszy. Skąd była ta dziewczyna? Z której dyskoteki? Z którego miasteczka? Jak brzmiał jej głos? Bo była przecież rozmowa, Polaco i jej, kilka tygodni przed wylotem.

Drobna, szczupła, nieśmiało uśmiechnęta. Czarne włosy do ramion, zielone oczy, delikatne piegę na nosie. Usta pociągnięte różowym błyszczkiem. Ładna.

– Dobra! Słuchajcie. Zbieramy się. Zbieramy się w kółeczko. Świetnie. Super. Super, że jesteście. Że jest tu tyle fajnych... nie... że jest tu tyle zajebistych osób!

Wyćwiczona przemowa i wyćwiczone gesty Polaco. Zastygnięcie z uniesionymi ramionami. Odpowiedź taka jak zawsze – radosne oklaski.

– Słuchajcie, słuchajcie. Jedziemy na Karaiby smażyć się na złotym piasku, pić coca-colę. – Puszczono oko, wybuch śmiechu. Bo przecież żadna coca-cola, prawda? Co najwyżej kilka kropel do rumu, dla smaku. – Będziemy pływać w błękitnym oceanie, a w międzyczasie nakręcimy zajebiaszczą reklamkę!

Zamiast „hurra” – piski dziewcząt i „dawaj, kurwa” chłopców.

– Słuchajcie, słuchajcie! Jedno wam mogę obiecać! To będą wakacje, które zapamiętacie do końca życia!

Bili brawo. Kiedy przestali, przyszedł czas na pracę. Sprawdzanie paszportów, liczenie, zapędzanie bydła do samolotu.

Tamta dziewczyna miała na imię Agnieszka.

Przesiadka we Frankfurcie. Kolejny samolot i jedenastogodzinna podróż. Nudny film na zbyt małym ekranie, niewygodne siedzenia, nie można było porządnie wyprostować nóg.

Wylądowali na lotnisku El Dorado w Bogocie. Dziki tłum, zapach potu, oślepiające słońce. I głośni Latynosi ze zbyt energiczną gestykulacją.

– Słuchajcie. Jesteśmy w Kolumbii. Jedziemy na wybrzeże, żebyście nabrali opalenizny przed występem w reklamie. W koń-

cu chcemy, żebyście wyglądali pięknie, prawda? Więc panie będą leżeć na plaży, sączyć drinki i wystawiać swoje plecki i brzuszki na słońeczko, a panowie poćwiczą ABS-y. Dobra? Hotel mamy załatwiony, wszystko all-inclusive, w tym alkohol.

Wyszczерzyli zęby z radości, kiedy się o tym dowiedzieli. Nic dziwnego, połowa zdążyła się już upić w samolocie. Jeden koleś, na którego wołali Pajęczarz, bo miał pajęczynę wytatuowaną na muskularnej szyi, zaraz po starcie, zataczając się, popędził do kibla, żeby spędzić tam następną godzinę.

– To Carlos, jest stąd, też pracuje dla Coca-Coli. Będzie się nami opiekował z ramienia producenta, pomagał w kontaktach z Kolumbijczykami i dbał o to, żebyście zawsze mieli pełne kieliszki.

Wszyscy wyciągali szyje, żeby dobrze się przyjrzeć delikatnemu, metroseksualnemu Kolumbijczykowi o czarnych, lekko kręconych włosach i śnieżnobiałym uśmiechu.

– *Come with me! I will show you the way to our bus, OK? Come on...*

Czekała ich kolejna męcząca, czternastogodzinna podróż. Autobusem dojechali do hotelu na wybrzeżu, niedaleko Santa Marta. Niewielki, ale schludny ośrodek, którego właściciel nie zadawał zbyt wielu pytań. W pobliżu piaszczysta plaża, na horyzoncie soczyste zielone, porośnięte dżunglą stoki gór. Zajęli pokoje i niemal natychmiast zasnęli.

Następnego dnia rozpoczął się tygodniowy festiwal smażenia się na plaży, picia oraz wieczornych imprez, które ciągnęły się do rana. Polacy przywieźli swoje płyty, więc ośrodek nieustannie wibrował w takt rytmów disco prosto spod Radomia.

– Bania u Cygana, bania u Cygana, bania u Cygana do rana! – wrzeszczał na parkiecie jeden z chłopaków z butelką miejscowego piwa w dłoni.

Nie wiadomo, dlaczego uparli się, żeby nazywać Kolumbijczyków Cyganami, ale się przyjęło.

To był jeden z takich wieczorów. Carlos tonął w objęciach blondynki o imieniu Dorota, która tej nocy wygrała wyścig do egzotycznej przygody. Towarzyszyły im krzyki wokół basenu. Alkohol, papierosy i głośna muzyka. Poniżej ośrodka znajdowała się plaża. Tam panował spokój i można było złapać chwilę oddechu, zanim trzeba będzie wrócić do pracy.

Agnieszka usiadła na miękkim, ciepłym piasku i podała Polaco butelkę wina.

– To moje marzenie – powiedziała po chwili milczenia.

– Marzenie?

– Podróżować, widzieć to wszystko. – Zakreśliła dłonią szeroki łuk. – Trochę żałuję, że się stąd nigdzie nie ruszamy, nie oglądamy kraju.

– Tu jest niebezpiecznie. Kartele, FARC, AUC... – Skrótownice, które wśród miejscowych budziły strach, Agnieszce zapewne nie nie mówiły. – Terrorysty.

– To po co tutaj przyjechaliśmy?

– Opalenizna. Coca-Cola. Nie wiem, to ich decyzja.

– Jak to jest?

– Co?

– Tak podróżować. Po świecie.

– Dobrze. Ale męcząco.

Agnieszka uśmiechnęła się i położyła. Łyk wina. Piasek pod głową. I gwiazdy. Tyle, ile nigdy nie uda się zobaczyć w Polsce.

– Nigdy nie myślałam, że pojedę tak daleko.

– Pierwszy raz jesteś za granicą?

– Tak. To znaczy nie. Wcześniej byłam we Frankfurcie. Tym nad Odrą. Ale to się chyba nie liczy. – Delikatny uśmiech. – Dziękuję ci.

– Za co?

– Za to, że tu jestem.



Podniosła się. Jej twarz. Oddech pachnący winem i owocami. Jej usta. Pocałunek. Delikatny ruch języka.

– Przepraszam – szepnęła Agnieszka. – Tutaj jest tak pięknie, że chce się próbować nowych rzeczy.

– Wiem.

Magiczna chwila, kiedy było jasne, że dziewczyna tego pragnie i Polaco też.

– Uważaj! – krzyknęła Agnieszka.

Trzech Polaków przebiegło tuż obok nich, wzbijając w górę chmury piasku. Głośno wrzeszcząc: „Dawaj, kurwa!!!”, wpadli w fale Morza Karaibskiego.

Polaco uderzyła głupia, pełna nadziei myśl, że debile się tam utopią, ale Agnieszka zaśmiała się i Polaco nie pozostało nic innego, jak dołączyć. Chłopacy ochlapywali się nawzajem wodą jak małe dzieci, krzycząc i chichocząc.

Po tygodniu w okolicach Santa Marta rozpoczęło się gotowanie żaby.

Polaco z Carlosem zwołali wszystkich do hotelowej jadalni. Tym razem towarzyszył im Ilich – potężny, umięśniony Kreol o twarzy pokrytej bliznami po ospie, który swoje imię otrzymał po Włodzimierzu Iljczu Leninie lub, co bardziej prawdopodobne, Ilichu Ramírezie Sánchezie, słynnym „Szakalu”. Było pewnym aktem odwagi, że Kolumbijczyk publicznie używał tego imienia. W tym kraju tyle wystarczyło, żeby wylądować w wykopanym w dżungli rowie z kulką we łbie. Ilich stał z boku, ponury, milczący, patrzył na wszystkich bykiem. W ustach obracał wykałaczkę, którą co jakiś czas wyjmował tylko po to, żeby splunąć na podłogę. Nikt nie skomentował głośno jego obecności, a Polaco z Carlosem zachowywali się tak, jakby Kreola w jadalni po prostu nie było.

Nadszedł czas na Polaco.

– Słuchajcie, słuchajcie! Pojawił się problem. I to duży. Okazuje się, że z reklamy nici. Odwołano zdjęcia. Coś nie wyszło, producenci się nie dogadali i nie jedziemy na Karaiby.

Jęk zawodu i zaniepokojone spojrzenia.

– Ale nie ma powodu do paniki. Tutaj wszystko jest opłacone, bilety do domu kupione, wszystko jest okej.

– *Okay!* – krzyknął Carlos i pokazał wyciągnięty w górę kciuk.

– Zostajemy tutaj jeszcze pięć dni. Hotel opłacony, drinki opłacone, żarcie opłacone. Czyli co jest?

Popatrzyli po sobie, nie rozumiejąc, czego Polaco od nich oczekuje. Trzeba im było pomóc.

– Jest impreza!

Pozornie nic się nie zmieniło. W dzień basen, plaża, opalanie się i drinki z palemką. Wieczorami muzyka, alkohol, śpiewy.

Ilich nie zniknął. Pozostał w ośrodku. Nie pił. Siedział zawsze z boku. Obserwował Polaków, bawił się wykałaczką, raz dziennie wypalał grube cygaro. Co jakiś czas pojawiali się jego koledzy. Zawsze przychodziło ich co najmniej dwóch. Wyglądali równie podejrzanie jak Ilich. Podrywali dziewczyny lub zaczepiali chłopaków, jakby szukali okazji do bójki. Kiedy sytuacja robiła się nerwowa albo kiedy Polki uciekały na drugi brzeg basenu, Ilich uspokajał kolegów krótką serią hiszpańskich słów.

– Kim jest ten Cygan? – spytała Polaco Agnieszka.

– Nie wiem do końca. To ktoś od producenta. I znajomy właściciela hotelu.

– Dziwny jest.

– To inna kultura. Macho, sama rozumiesz.

Agnieszka kiwnęła głową, ale w jej oczach ciągle widać było niepokój.

– Wszystko jest okej.

Dłoń Polaco na jej ramieniu. Prosty, uspokajający gest.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Agnieszka uśmiechnęła się i cmoknęła Polaco w policzek. Potem spojrzała Polaco prosto w oczy. Szczerze i z pełnym zaufaniem.

Po pięciu dniach po raz kolejny spędzili bydło do stołówki. Tym razem oprócz Polaco, Carlosa i Ilicha byli tam też koledzy Kreola. Kolumbijczycy poczekali, aż wszyscy się zbiorą, i zamknęli drzwi od jadalni. Pilnowali, żeby nikt nie wyszedł. Carlos i Polaco obrzucali się nerwowymi spojrzeniami. Ilich stał z boku.

Szczerzył groźnie zęby, jak pies, który chce kogoś ugryźć.

– Słuchajcie – rozległ się zmęczony i przestraszony głos Polaco – mamy problem. Coś się spierdoliło.

Kilkanaście sekund ciszy, żeby te słowa do nich na pewno dotarły.

– Nie ma kasy, żeby zapłacić za nasz pobyt. Rozumiecie? Wiśsimy tutaj kupę kasy za całe żarcie i alkohol.

– Ile? – zapytał ktoś.

Trudno podać konkretną kwotę. Za niska nie zrobi odpowiedniego wrażenia. Za wysoka może się wydać nierealna.

– W chuj.

Spoglądali po sobie niepewnie. Banda przerażonych gówniarczy, którzy jeszcze nie wiedzieli, w jakie kłopoty się wpakowali, ale już przeczuwali, że nie będzie im łatwo się z nich wyplątać. Jedna z dziewczyn, drobna blondyneczka w okularach, zaczęła cichutko szlochać.

Drzwi od sali otworzyły się i do środka wszedł któryś z kumpli Ilicha, trzymając w ręce plastikową torbę. Wysypał jej zawartość na jeden ze stołów. Paszporty poszorowały po blacie bordowymi okładkami z orłem w koronie.

– Hej, to nasze! Zostaw to, kurwa, Cyganie! – krzyknął chłopak z wytatuowaną pajęczyną.

Ruszył w stronę Kolumbijczyka, żeby odzyskać swoją własność, ale ten zamachnął się i nagle głowa Polaka uniosła się lekko, a potem wraz z całym ciałem runęła na podłogę. Któryś z kolegów chciał pomóc Pajęczarzowi, ale zanim zdążył zrobić dwa kroki, ujrzał wycelowaną w sam środek swojego czoła lufę rewolweru. Kolumbijczyk uśmiechnął się drwiąco, kiedy Polak podniósł ręce, i przekrzywił głowę to w lewo, to w prawo. Stojący naprzeciwko niego chłopak był blady jak ściana, a strużki potu spływały mu po twarzy.

– *Apuesto que se va a mear* – warknął bandzior.

Odpowiedziało mu kilka zachęcających chrząknięć. Kolumbijczyk jakby na to czekał, bo zbliżył lufę do twarzy Polaka. Chłopak przełknął ślinę, kiedy spojrzał prosto w oczy oprawcy. W tej samej chwili pomiędzy nich wszedł Carlos.

– *Basta ya. Creo que habrán entendido* – powiedział stanowczo.

– *¿Es el momento cuando te grito?* – odrzyknął gniewnie gangster. – *¿Eso tiene que bastar para que te confíen? ¿Estás seguro de que no hablan castellano?*

– *Sí. Y aleja esta mierda de mí o te despanzurro* – odparł nieśmiało Carlos i spuścił wzrok.

Bandzior przez chwilę się wahał, ale wreszcie schował rewolwer za pasek spodni. Ominął Carlosa, który stęknął z ulgą, i podszedł do ciągle leżącego na ziemi i trzymającego się za nos Pajęczarza. Splunął na niego, a potem wrócił do stołu, zebrał paszporty z powrotem do torby i pomachał nią do Polaków.

– *We will come back tomorrow. Nobody move or we will kill you. Understand?* – powiedział Ilich.

– Nie możemy opuszczać ośrodka, bo nas zabiją. – Tłumaczenie z angielskiego na polski było zadaniem Polaco.

– *No police, no soldiers or we will kill you. Understand?*

– Jeśli spróbujemy zadzwonić na policję, to nas zabiją.

– *Good.*

Ilich machnął na swoich ludzi i wszyscy opuścili salę. Pozostali w niej tylko Polacy oraz Carlos. Rozpoczęła się typowa litania gróźb, płaczów i idiotycznych pomysłów.

– Co tu się dzieje?

– Nie wiem, nie rozumiem. To nie tak miało być. Producent coś zawałił. Spróbuję się z nim skontaktować.

– Zajebię cię, kiedy wrócimy do Polski.

– Kiedy wrócimy do Polski, będziesz mógł mi zrobić, co chcesz. Obiecuję.

– Zadzwońmy po policję, tutaj nie może tak być.

– Ale tutaj właśnie tak jest. Pewnie nas pilnują i nie pozwolą nikogo zawiadomić. A nawet jeśli, w Kolumbii policja siedzi w kieszeni takich jak Ilich.

– To ucieknijmy.

– Dokąd? Nie mamy kasy, nie mamy paszportów, nie wiemy, gdzie jesteśmy. Ci faceci nie żartują. Mają broń, sam widziałeś.

Rozbrajanie bomb, jedna po drugiej, powoli, spokojnie, konsekwentnie. Z każdą chwilą nienawidzili Polaco coraz bardziej. Ale Polaco to była jedyna osoba, która mogła mieć blade pojęcie, co tu się dzieje. Jedyiny łącznik z tym dziwnym światem.

Carlos stał obok z opuszczoną głową. Wyglądał na zażenowanego, jakby się wstydził, że taka paskudna przygoda mogła spotkać miłych cudzoziemców w jego ojczyźnie. Ale jego akt odwagi sprawił, że Polacy uczynili go częścią grupy. W końcu ryzykował życie, żeby stanąć w obronie jednego z nich. To coś znaczyło, prawda?

Kiedy wrócili do pokoi, zorientowali się, że zabrano im więcej niż paszporty. Zniknęły także rzeczy osobiste, pieniądze, nieliczne komórki. Telefony hotelowe milczały, nie było w nich słychać nawet sygnału. Na obrzeżach ośrodka z kolei pojawili się koledzy Ilicha. Leniwie wędrowali z miejsca na miejsce, obserwując budynki. Każdy z nich miał broń, dwóch nawet karabinki automa-

tyczne. Jeden gangster wycelował w stojącego na balkonie Polaka, szczupłego blondyna spod Grudziądza, i udał, że strzela.

– Tratatata! – zawołał i roześmiał się chrapliwie.

Blondyn uciekł do środka.

Odebrano im alkohol. Na kolację podano niesmaczny chleb tostowy i trochę sera. Zbyt mało, żeby zaspokoić głód.

Następnego dnia podczas śniadania do jadalni wpadło trzech kumpli Ilicha. Chwycili Carlosa i pomimo jego głośnych protestów wyprowadzili go na zewnątrz. Potem wrócili po Polaco. Nie patyczkowali się. Zamiast przywitania wymierzili cios pięścią w żołądek. Wrócili z Polaco po półgodzinie. Za nimi wszedł Ilich i jeszcze dwóch jego pomagierów. Polacy się bali. Nie wiedzieli, co zrobić, jak zareagować. Tkwili w bezruchu jak zahipnotyzowani.

Kolejna przemowa Polaco.

– Słuchajcie. Powiedzieli nam, że mamy u nich dług. Bardzo duży. Ale możemy go spłacić. Jedna przysługa, jaką im wyświadczymy, i będziemy kwita. Nikomu nie stanie się krzywda.

– Co to za przysługa? – zapytała Agnieszka.

– Właśnie? – dopytywał stojący obok niej Pajęczarz.

Chwila milczenia. Badanie bydła. Na razie wszystko zgodnie z planem. Byli urobieni.

– Mamy przewieźć dla nich coś do Polski.

– Co takiego?

– Kokainę.

Zaszemrali. Do Polaco docierały urywki słów, zdań, rozmów. Ale to wystarczyło. Mówili dokładnie to samo, co tyle grup przed nimi: to niemożliwe, nie możemy tego zrobić, co będzie, jak policja nas złapie, oni nas zabiją, co za pojebana sytuacja.

Ilich wystąpił kilka kroków naprzód i klasnął głośno.

– *Hey! Hey! Listen!* – zawołał i wskazał palcem na Polaco.

Uciszyli się.

– W bagażu każdego z nas ukryją paczkę z kokainą. Mamy ją tylko przewieźć do kraju. W Polsce ktoś odbierze od nas narkotyki i to będzie koniec. Nigdy więcej o nich nie usłyszymy.

– A co będzie, jeśli się nie zgodzimy?

Kto to powiedział?

Agnieszka.

Szlag.

– Powiedzieli, że nas zabiją.

Milczenie. Ciężkie, przepełnione strachem.

– *Tell them one thing* – odezwał się Ilich. – *There ain't no such thing as a free lunch.*

Ciekawe, czy Kolumbijczyk dostrzegł ironię tych słów padających z jego ust.

Następny etap – obserwacja. Podzielili się na grupki. Potulni – z tymi nie będzie problemu. Dalej Bezradni – kilkoro takich, którzy z jakiegoś powodu nie do końca ogarniali sytuację. Nimi łatwo było manipulować. Potem Niezdecydowani – najliczniejsi. Sami jeszcze nie wiedzieli, jak się zachowają, co zrobią. Większość z nich dołączała do Potulnych, ale w głowach niektórych pojawiały się głupie myśli. Wreszcie ostatni – Buntownicy. Tacy jak Agnieszka. Bała się, to oczywiste, ale nie dawała tego po sobie poznać. Udawała pogodzoną z losem.

Ale w rzeczywistości knuła.

Carlos, przestraszony, snuł się od jednej grupy do drugiej, ale zawsze odbijał się od bariery języka. Mało który Polak mówił po angielsku. Jeśli już, to absolutne podstawy. To było jedno z kryteriów doboru do wyjazdu. Chodziło o to, żeby w razie ucieczki taka osoba nie wiedziała, jak wezwać pomoc, i nie potrafiła wytłumaczyć, co się dzieje.

Polacy współczuli Carlosowi, bo pozostawał w tym naprawdę sam.

Dla Polaco był to czas wytężonej pracy.

– Widzę, że sobie świetnie radzicie. Możecie zaopiekować się Izą?

Podrzucić Potulnym Bezradnych. Jedną, dwie osoby naraz, żeby Potulni mogli na spokojnie zarazić ich swoim przekonaniem.

Teraz Niezdecydowani.

Niektórych należało pochwalić za spokój. Pomóc im. Dać drobną nagrodę. Sprawić, żeby pojawił się syndrom sztokholmski – niech uwierzą, że coś ich łączy z porwaczami, że mają wspólny interes. Budowanie relacji – krok po kroku, za pomocą drobnych gestów, kilku uśmiechów.

Tam gdzie nie pomagały nagrody, trzeba było karać. Pozwolono więc na dwie bójki z Kolumbijczykami. To zadziwiające, jak widok wycelowanej lufy pistoletu prosto w środek czoła chłodzi najgorętsze głowy. Do tego kilka ciosów, a w odpowiednim momencie wyciągnięta do pomocy dłoń.

Wreszcie Agnieszka, potencjalnie najgroźniejsza z nich wszystkich. Byli już tacy przed nią. Cisi, niepozorni, ale przebiegli.

Agnieszka była naturalnym przywódcą. Normalnie tego się nie dostrzegało, sprawiała wrażenie zwykłej dziewczyny, ale w chwili kryzysu zmieniała się nie do poznania. Krążyli wokół niej ci, którzy także mogli sprawiać kłopoty. Na przykład Pajęczarz. To akurat Polaco specjalnie nie zdziwiło. Facet był wystarczająco dziki i wystarczająco głupi, żeby nic nie zrozumieć z lekcji, której mu udzielono. Albo Marcin, na którego wszyscy wołali Pinglarz, bo nosił na piegowatym nosie okulary, a wiecznie przetłuszczone włosy zaczesywał do tyłu. Zawsze chodził w dżinsach i flanelowej koszuli, jakby zupełnie nie odczuwał tropikalnej temperatury.

Następny wieczór, najchłodniejszy z dotychczasowych. Agnieszka sam na sam z Polaco – siedziała na leżaku nad opróżnionym basenem (ot, jedna z drobnych szykan), Polaco obok. Milczenie



Agnieszki. Zastanawiała się pewnie, czy zaliczyć Polaco do ofiar czy do sprawców.

Kolejny akt przedstawienia Polaco.

– Jest ich sześciu. W garażu są samochody, kluczyki trzymają w swojej kanciapie. Może udałoby mi się jeden podwędzić. Tutaj nie mamy czego szukać, w Santa Marta pewnie również wszyscy siedzą w kieszeni Ilicha. Ale gdybyśmy dotarli do Barranquilla, to moglibyśmy zawiadomić polski konsulat. To tylko jakieś sto kilometrów, może się udać.

Agnieszka wyprostowała się.

– Czemu mi to mówisz?

– Bo chcę coś zrobić. Jestem tutaj trzeci raz i po raz pierwszy wydarza się coś takiego! Nie wiem, co się dzieje, ale to coś złego. Rozumiesz?

– Zastanowimy się – odpowiedziała.

Agnieszka postanowiła zrealizować plan Polaco. Tyle że po swoimemu.

Weszła do pokoju Kolumbijczyków. Łamanym angielskim, tymi kilkoma słówkami, które знаła, gestami i po polsku wyjaśniła im, że potrzebuje podpasek. Miała okres, bolał ją brzuch. Ludzie Ilicha, kiedy wreszcie zrozumieli, o co jej chodzi, wyśmiali ją. Ale Agnieszce wystarczyła ta krótka chwila, żeby podwędzić kluczyki do samochodu.

Nie mieli dużo czasu. Razem z Pajęczarzem i Pinglarzem zakradli się w okolice garażu. Wejście było pilnowane przez jednego strażnika. Pinglarz zasymulował atak padaczki, Pajęczarz podbiegł do Kolumbijczyka, tłumaczył mu, że trzeba pomóc jego koledze. Podziało. Zaintrygowany strażnik opuścił posterunek, a Agnieszka wślizgnęła się do budynku.

Wiedziała, że zniknięcie trzech osób zaraz zwróciłoby uwagę. Ale kto zauważył nieobecność małej, drobnej dziewczyny, która

w dodatku skarżyła się na bolesny okres? Nawet jeśli, to Kolumbijczycy mogliby najpierw pomyśleć, że zaszyła się w swoim pokoju czy w innym ciemnym kącie. Miała przynajmniej kilka godzin dla siebie. Nie przewidziała tylko jednego – że w garażu też będzie ktoś czekał.

Ktoś taki jak Agnieszka zawsze się pojawiał. Trzeba go było zidentyfikować, poprowadzić, a potem przykładowo ukarać.

Kolumbijczycy wbiegli z karabinami na teren ośrodka. Nie patyczkowali się. Ktoś dostał kolbą w łeb tak mocno, że niemal stracił przytomność. Zagonili wszystkich do jadalni. Kiedy Polacy już się tam znaleźli, drżący i przerażeni pod lufami kałasznikowów, Ilich wprowadził Agnieszkę. Trzymał ją za włosy. Wyszedł na środek i rzucił dziewczynę na ziemię. Potem ją kopnął z całych sił, tak że można było usłyszeć trzask łamanych żeber.

– *You are fucking thinking that this is a game? ¿Qué? This is not a fucking game, no!* – mówił za szybko, za głośno. Był po kokainie.

Nachylił się nad Agnieszką i przygniół ją kolanem. Chwytał za włosy, odchylił jej głowę i przyłożył ostrze noża do gardła. Usłyszała, jak Kolumbijczycy odbezpieczają broń.

– *No fucking game!* – powtórzył Ilich.

To była próba. Kolumbijczyk chciał sprawdzić, co zrobią. Co zrobi Pajęczarz, co zrobi Pinglarz. Czy będą walczyć, czy się poddadzą. Jeśli to pierwsze, zginą, jeśli to drugie, ich szanse na powrót do domu rosły.

Ilich trzymał ostrze noża na szyi dziewczyny, a spojrzeniem przekrwionych oczu prześlizgiwał się po kolejnych twarzach. Ale nikt się nawet nie poruszył. Ilich puścił Agnieszkę i splunął na bok. Wstał, chwycił dziewczynę pod pachę i wyprowadził. Chwilę później mogli usłyszeć odgłos odjeżdżającego z piskiem opon samochodu.

Następnego dnia rano wywlekli ich z pokoi. Zapakowali do podstawionych furgonetek i wywieźli. W pojazdach nie było okien, więc nie wiedzieli, dokąd jadą. Siedzieli w kucki, w ciasnocie, duchocie, pocąc się niemłosiernie. Wertepy sprawiały, że co chwila podskakiwali i raz po raz ktoś uderzał głową o twardą ściankę.

Po godzinie jazdy samochody się zatrzymały. Otworzono drzwi i uderzyła w nich chłodna morska bryza. Kazano im wyjść. Znajdowali się na piaszczystej plaży przy niewielkim rybackim miasteczku. Bawiły się tam dzieci, kilka rodzin rozłożyło koce. Przy pobliskim nadbrzeżu zacumowane były liche łodzie rybackie.

– *Hey! You see?!* – krzyknął Ilich i pokazał im jedną z łodzi. Mężczyźni o spalonych słońcem twarzach ładowali na nią drewniane skrzynie. – *Stop!* – wrzasnął bandzior do jednego z tragarzy.

Rybak zatrzymał się, zmrużył oczy i opuścił skrzynię na ziemię.

Uzbrojeni Kolumbijczycy gestami dali znać Polakom, że mają podejść. Ilich ostrzem noża podważył wieko skrzyni. Odskoczyło z głuchym skrzypnięciem. Sięgnął do wnętrza i wyciągnął kwadratową paczkę wypełnioną białym proszkiem.

– *You see?! It is cocaine* – powiedział, potrząsając pakunkiem przed Polakami. – *You see?* – powtórzył Ilich i zatoczył ręką szeroki łuk obejmujący łodzie rybackie, pobliskie miasteczko, bawiące się na plaży dzieci z rodzicami. – *And nobody gives a fuck.*

Kiedy wrócili, czekał na nich napęczniony wodą basen. Zapewnili im dzień odpoczynku. Wokół ciągle kręcili się uzbrojeni Kolumbijczycy, ale nakarmiono Polaków do syta, zapewniono napoje oraz alkohol.

Polaco pracuje dalej. Krążenie od grupy do grupy, rozmowa, dolewanie alkoholu, podawanie papierosów, straszenie ludźmi Ilicha. Aż wreszcie padały te słowa, o które chodziło od początku:

„Tak. Zrobimy to”. Carlos, również przestraszony, wędrował za Polaco krok w krok.

Następnego dnia rano zebranie. To robiło się męczące. Po jednej stronie ponurzy, skacowani Polacy, po drugiej uzbrojeni Kolumbijczycy.

Czas ogłosić decyzję.

– *We will do it. But we want Agnieszka back.*

Rozległy się pełne zdumienia jęknięcia. Spisali Agnieszkę na straty. Ba! Niektórzy twierdzili nawet, że dziewczyna, cokolwiek ją spotkało, sama sobie na to zasłużyła. Po co się wychylała, trzeba było grzecznie czekać, jak inni. Ale to był kolejny etap przedstawienia. Polaco uratuje Agnieszkę. Na powrót zdobędzie ich zaufanie. Bo dziewczyna, pobita, posiniaczona, taka, która swoim wyglądem będzie przypominać wszystkim, jaki los czeka buntowników, była jeszcze potrzebna.

Ilich znalazł się tuż przy Polaco. Śmierdziało mu z ust.

– *Oh really?*

– *We want Agnieszka back.*

Cios pięścią prosto w żołądek. To nie było zaplanowane. Musiał być naćpany.

– *We want Agnieszka back.*

Ilich zamachnął się powtórnie, ale tym razem nie uderzył. Zatrzymał się w ostatnim momencie, jakby coś przemysślał. Warknął na swoich ludzi i po chwili dwóch bandytów chwyciło Polaco pod ramiona i wyniosło z sali.

Płócienny worek na głowie. Podróż samochodem. Jechali szybko, niebezpiecznie, jak to Latynosi. Mdłości. Wymioty prosto do kaptura.

Wreszcie się zatrzymali. Ilich wyprowadził Polaco z samochodu. Kolumbijczyk ściągnął worek z głowy Polaco i skrzywił się, kiedy zobaczył wymiociny. Pokręcił głową i wymamrotał coś obraźliwego pod nosem. Rzucił na ziemię chustkę do wytarcia twarzy.

– *Come.*

Byli w jakimś odludnym, zapomnianym gospodarstwie. Za pobliskimi polami zaczynała się już dżungla. Budynki w większości chyliły się ku upadkowi i wyglądały tak, jakby miały się rozpaść pod silniejszym podmuchem wiatru.

Ilich zaprowadził Polaco do czegoś, co przypominało stajnię, i pokazał celę. Agnieszka leżała na brudnej betonowej podłodze. Miała na sobie jedynie na wpół podartą koszulkę. Na nogach, pośladkach, ramionach widać było obtarcia i siniaki. Na głowę zarzucili jej kaptur. Ręce związali szpagatem na plecach.

– *Go fuck her* – odezwał się Ilich.

– *No.*

– *I was see how you look at her. Go fuck her.*

– *No.*

Ilich uśmiechnął się paskudnie, ukazując rząd żółtawych zębów, i położył dłoń na rękojeści zawieszzonego przy pasie noża.

– *Go fuck her* – powtórzył, powoli i chrapliwie wymawiając każde słowo.

Serce Polaco zaczęło bić mocniej.

– *No.*

Ilich zmarszczył brwi.

– *Déjalo. Ella está muy bien* – usłyszeli za plecami.

Carlos. Pojawił się nie wiadomo skąd i stał za Ilichem, który teraz jakby się zgarbił i już nie był tak pewny siebie. Wyraźnie się bał.

– Bo jesteś okej, prawda? – powiedział czystą polszczyzną Carlos, a Polaco nagle zakręciło się w głowie.

Carlos mówił po polsku? Od kiedy? Olśnienie. Zawsze przy nich był. Milczący, spokojny i, wydawałoby się, niegroźny. Pilnował ich. Łowił każde słowo. Sprawdzał, czy wszystko idzie zgodnie z planem. Ale dlaczego obawiał się go Ilich? Kim, do diabła, był ten drobny, metroseksualny chłopaczek?

– Tak. Jestem okej.

– To bierz dziewczynę, jak to było ustalone, i spierdalaj. Bo tak się mówi po waszemu, prawda? Spierdalaj.

– Tak, tak się mówi.

Carlos uśmiechnął się łagodnie, niemal przyjaźnie. Wszystko – wyraz twarzy, gesty, ton głosu, postawa – wszystko to mówiło: „Cześć, jestem dobrze wychowanym chłopakiem, twoim kumplem. Możesz mi zaufać”. I człowiek mu wierzył, bo czemu by nie miał?

Tylko że Carlos był zabójcą.

Wszyscy byli zdumieni, kiedy Agnieszka wróciła z Polaco. Zajęli się dziewczyną. Umyli, ubrali, opatrzyli rany. Jednak ani Pinglarz, ani Pajęczarz nawet się do niej nie zbliżyli. Wstydzili się, czuli się winni.

Agnieszka spotkała się z Polaco dopiero wieczorem. Dziewczyna leżała na łóżku. Pod kocem.

– Jak się czujesz?

– Źle – odpowiedziała po prostu i szczerze Agnieszka.

– Wiem.

Niezręczne milczenie.

– Powiedzieli, że mogli cię zabić.

– Tak.

Kolejne długie i konieczne sekundy milczenia.

– Jutro będziemy wracać.

– Z kokainą?

– Tak.

– Nie wiem, czy dam radę.

– A ja nie wiem, czy ci pozwolą. Oni... są na ciebie źli. Pozwolili ci wrócić, żeby uspokoić innych, ale nie wiem, czy wpuszczą cię do samolotu.

Rozumiała. Znowu budził się w niej wojowniczy duch. To było aż niewiarygodne. Ale to dobrze. Teraz powinna być harda. Na kolanach Agnieszki wylądowała koperta od Polaco.

– W środku jest trochę peso, dolarów i bilet na lot do Nowego Jorku. Na lotnisku odłączysz się od grupy.

– Paszport?

– Rozdadzą nam jeszcze w hotelu. Tobie na pewno też. Żeby nie budzić podejrzeń innych.

– Dobrze.

– W Nowym Jorku skontaktuj się z konsulem. Zadbają o ciebie.

– A co z wami?

– Mam nadzieję, że będzie dobrze.

Długo ważyła w dłoni kopertę. Po karku Polaco spływała kropla potu. Ten moment zawsze był najgorszy. Aż wreszcie Agnieszka kiwnęła głową. Uwierzyła w kłamstwa.

Tak było łatwiej.

Ostatnia odprawa. Ostatnie groźby.

– Kazali powiedzieć, że wiedzą, kim jesteśmy. Spisali nasze dane. Wiedzą, gdzie mieszkamy, gdzie są nasze rodziny. Jak coś zrobimy, to ich zabiją. Żadnych głupot. Ktoś zawsze będzie nas obserwował.

Rozdali im paszporty i każdemu po trzy butelki rumu. Polacy byli zdziwieni, ale wyraz twarzy Kolumbijczyków sprawił, że nawet nie próbowali zadawać pytań. Nie wiedzieli, że kokaina była rozpuszczona w alkoholu. W ten sposób nie wyczuwały jej psy. Trunek nie budził niczych podejrzeń. W końcu jaką pamiątkę mogli przywieźć z Kolumbii turyści wracający do domu?

Agnieszka odłączyła się na lotnisku w Bogocie. Wszyscy, nawet Polaco, byli zbyt zdenerwowani, żeby to zauważyć. Tłum ludzi, odprawa bagażowa, uzbrojeni policjanci, celnicy,

straż graniczna. Walizki i plecaki z narkotykami znikające na taśmie.

Nerwowe oczekiwanie w samolocie. Puszczać, nie puszczać? Znajdą, nie znajdą? Kołowanie. Wzbili się w powietrze. A potem dziki wybuch radości, kiedy znaleźli się nad oceanem. Inni pasażerowie patrzyli na nich zdumieni.

Największe nerwy dla Polaco jak zwykle we Frankfurcie. Z Kolumbijczykami dało się dogadać, z Polakami także. Ale Niemcy byli pojebani. Nigdy nie wiadomo, co zrobią. Ale tym razem, po raz kolejny, nikt ich nie zatrzymał.

Przylot do Katowic-Pyrzowic. Bo łatwiej i bezpieczniej niż na Okęciu. Polaco znika zaraz po wylądowaniu. Reszta zacznie się pewnie włóczyć po lotnisku, zdezorientowana, aż wreszcie odbierze swoje bagaże. Będą z nimi potem stać, godzinę, może dwie, aż ktoś ich zaczepi. Wreszcie zwrócą na siebie uwagę straży granicznej. Patrol zapyta, czy na coś czekają. Wtedy odejdą, zdumieni, że to już koniec, że nikt niczego od nich nie chce.

Co się działo z narkotykami? Po prostu znikają. Może w sortowni w Katowicach. Może jeszcze we Frankfurcie. To drugie miało więcej sensu. Rynek niemiecki był bardziej dochodowy niż polski. Polacy byli tylko mułami, gastarbeiternami – nie konsumentami.

Ostatni etap podróży dla Polaco. Furgonetka bez okien. Potem dom jednorodzinny gdzieś na odludziu. Po godzinie czy dwóch pojawiał się tam mężczyzna. Dobrze ubrany, postawny. Starł się zachowywać przyjaźnie, ale nie miał talentu Carlosa do mimikry. Zdradzały go oczy. Oczy węża. Wołali na niego Wielki B.

– Brawo. Powiem ci szczerze, że jesteśmy pod wrażeniem. Świetnie dobierasz ludzi. Tylko jedna osoba się postawiła. Zwykle jest ich więcej. Kiedyś zbuntowała się nawet cała grupa. To był dopiero cyrk.

– Co się z nimi stało?



– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Nie.

– Dobra decyzja. Co się dzieje w Kolumbii, zostaje w Kolumbii.

Mężczyzna postawił przed Polaco sportową torbę. Otworzył ją i pokazał zawartość. Żadnego ruchu. Żadnego gestu.

– Nie przeliczysz?

– Nie.

– Podobasz mi się – oznajmił mężczyzna. – To co, do przyszłego sezonu?

– Do przyszłego sezonu.

Znowu do furgonetki. Potem przesiadka w szczerym polu do zwykłego osobowego. Wreszcie dworzec w Częstochowie. I to by było na tyle.

Agnieszka nigdy nie dotarła do Nowego Jorku. Kolumbijczyków można było łatwo przekupić, ale każda służba musi mieć też sukcesy, którymi może się pochwalić przed przełożonymi. Wszyscy w tym interesie doskonale rozumieli, że jeśli chcesz brać, to musisz też dawać. Dlatego od czasu do czasu ustalano, kto wpadnie, z czym i gdzie. Agnieszkę złapano z kilogramem kokainy, kiedy nadawała bagaż. Co się z nią dalej stało?

Szczerze mówiąc, Polaco nigdy to nie interesowało.